

JERZY SIEWIERSKI



**NIE ZABIJA SIĘ
ŚWIĘTEGO
MIKOŁAJA**

JERZY SIEWIERSKI

**NIE ZABIJA SIĘ
ŚWIĘTEGO
MIKOŁAJA**

 **SAGA**
EGMONT

Jerzy Siewierski

Nie zabija się Świętego Mikołaja

Saga

Nie zabija się Świętego Mikołaja

Zdjęcia na okładce: Shutterstock. Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów, z których pochod

Copyright © 1978, 2021 Jerzy Siewierski i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726950878

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

NIE ZABIJA SIĘ ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA

Rencista Stanisław Komorowski dobiega już dziś siedemdziesiątki. Wygląda jednak na znacznie młodszego. Włosy ma siwe, twarz pooraną zmarszczkami, ale ruchy i sylwetkę młodego człowieka. Lubią go i szanują w Gwiazdowie, gdzie mieszka od końca wojny. Jest radnym w gminnej radzie narodowej, pełni też funkcję terenowego opiekuna społecznego. I choć od dwudziestu już lat nie nosi szarego milicyjnego munduru, wszyscy w Gwiazdowie, nawet ledwie odrosłe od ziemi szkraby, nazywają go komendantem.

Przed dwoma laty spędzałem w Gwiazdowie miesięczny urlop. Zaprzyjaźniłem się wtedy z komisarzem Komorowskim. Popołudniami siadywaliśmy przy ogrodowym stole, ustawionym w cieniu rozłożystego krzewu jaśminu, przed domem Komorowskiego, i gawędziliśmy. Najczęściej mówił Komorowski. Miał znakomitą pamięć. Lubił i umiał opowiadać. Słuchałem uważnie jego niespiesznych, barwnych opowieści. Czasami coś sobie zanotowałem. Potem, już w Warszawie, napisałem tę książkę.

GODZINA DZIEWIĄTA

- Chuchnijcie, Walendziak - powiedziałem i zmierzyłem go surowym spojrzeniem.

- Panie władzo, jak Boga kocham, mówię prawdę, on tam leży...

- Walendziak, powiadam: chuchnijcie. Jak władza każe chuchać, to obywatel ma chuchać, a nie rezonować.

Nachylił się nad barierką i odetchnął mi w twarz. Pokiwałem głową.

- Czy wam nie wstyd, obywatelu Walendziak? Jest dopiero dziewiąta rano, a wy już jesteście w stanie nietrzeźwym. To nieładnie. I jeszcze zachciewa się wam głupich kawałów. Powiem wam, co macie zrobić. Pójdziecie teraz prosto do chałupy i nie wolno wam wstępować do gospody. I wyśpijcie się porządnie. A jak mi tu jeszcze raz będziecie zasuwac takie duperele o świętym Mikołaju, to zamknę was w areszcie i zapomnę o tym, że dziś Wigilia. Poświętujecie u nas, za kratkami...

Oczy Walendziaka nabrały nagle bardzo trzeźwego wyrazu. Spojrzał na mnie z wyrzutem.

- A pan sierżant nijak mi nie wierzy. A ja mówię prawdę. I wcale nie jestem pijany. Z Piotrkim od Florczaków ćwiartkę zrobiliśmy. Tyle co nic, a pan sierżant tylko w kółko, że ja zalany i zalany.

Westchnąłem ciężko i popatrzyłem w okno. Było szaro i mglisto, prószył śnieg. Na przystanku pekaesu stało dwoje dzieci. Dwie dziewczynki okutane w wełniane chustki. Poza nimi nie widać było nikogo.

Znów spojrzałem na Walendziaka. Nie chciał iść do domu, tylko czekał cierpliwie, miętosząc w dłoniach włochatą czapkę. I choć zalatywało od niego wódką, nie wyglądał na zalanego w trupa. Raczej, jak na swoje możliwości, był diabło trzeźwy. Otworzyłem wielką księgę, w której zapisywaliśmy meldunki o rozmaitych wydarzeniach, ująłem w prawą rękę służbowy długopis i zapytałem:

- Jednym słowem, obywatelu Walendziak, chcecie złożyć zameldowanie? - Już otwierał usta, ale uciszyłem go niecierpliwym ruchem dłoni. - Tylko zastanówcie się, co macie do powiedzenia. To nie żadne śmichy, chichy, tylko poważne zameldowanie złożone władzy. Zapamiętajcie sobie, że władza bardzo nie lubi, jak ją wprowadzać w błąd, a za głupie kawały to możecie sobie posiedzieć, i to nielicho, zrozumieliście?

Przytaknął głową na znak, że zrozumiał.

- To w takim razie jeszcze raz od początku walcie, co macie do powiedzenia.

Zaczął mówić. Trochę nieskładnie i powtarzając niektóre rzeczy po kilka razy, ale z jego gadania niedwuznacznie wynikało, że pod lasem, koło szosy prowadzącej do N., leży w śniegu nieżywy święty Mikołaj.

- Posłuchajcie, Walendziak - przerwałem mu - a skąd wy wiecie, że on jest nieżywy? Może się zwyczajnie upił i go zmogło?

- Panie sierżancie. - Z wyrzutem popatrzył mi w oczy. - Święty Mikołaj i się upił? Nie może tak być, panie władzo.

- Dobrze - powiedziałem. - Poczekajcie chwilę. - Nachyliłem się nad księgą i pod datą dwudziestego czwartego grudnia wpisałem wiecznym piórem: „Godzina dziewiąta. Zgłosił się ob. Antoni Walendziak, syn Józefa, i podał, że koło szosy leży w śniegu nieżywy człowiek,

odziany w szaty świętego Mikołaja”. Odłożyłem pióro i zamknąłem księgę.

Stało się – oznajmiłem surowo. – Zapisałem, coście mi powiedzieli. Już z tej księgi nikt tego nie wymaże.

Pójdziemy teraz do tego waszego nieboszczyka.

Sprawdzimy. I coś mi się widzi, obywatelu Walendziak, że będziecie tego żalowali. Władza takich żartów, zwłaszcza w święta, nie lubi i obiecuje wam, że na mandacie się nie skończy. Wlepią wam w sądzie taką grzywnę, że się nie pozbieracie.

Pokiwał głową i nic nie odpowiedział.

Naciągnąłem płaszcz i nałożyłem czapkę. Zapiąłem pas z pistoletem, przez ramię przewiesiłem raportówkę.

– Możemy iść – rzekłem i wskazałem wyjście.

Drzwi zamknąłem na kłódkę i zatknąłem za nią tekturkę z napisem: „Zaraz wracam”. Zwykle było nas na posterunku dwóch, ale że to była Wigilia, podzieliliśmy się dyżurami. Ja miałem pełnić służbę do południa. Potem kapral Duda. Następnego dnia miał objąć dyżur Józef Biedronek, a w drugi dzień świąt ja bym przejął posterunek. W ten sposób wszyscy byśmy poświętowali.

Ruszyliśmy w kierunku lasu. Świeży śnieg chrząścił nam pod butami i lekki mroziak szczypał w policzki. Kiedy na skraju wsi przechodziliśmy koło chałupy starej Biernackiej, Walendziak splunął z rozmachem w kierunku jej wielkiego czarnego kota, który wybiegł spomiędzy ośnieżonych opłotków i przebiegł nam drogę.

– Tfu, paskudztwo – powiedział. – Że też musi się to pętać pod nogami.

– Nie bądźcie przesądni, obywatelu – mruknąłem. – Co wam kot zawinił? Stworzenie jak stworzenie. Na waszym miejscu to bym raczej bał się białych myszek albo śnieżnobiałych nietoperzy. Jak będziecie tak dalej zalewać pałę, to je niedługo zobaczycie. Mogę wam to przyobiecać.

Popatrzył na mnie niepewnie i usiłował się uśmiechnąć.

- Ja tam nie lubię kotów, panie sierżancie, a już zwłaszcza kiedy przebiegają drogę. Mogą człowiekowi biedy napytać.

- Jużście jej sobie sami napytali, Walendziak - stwierdziłem ponuro. - No, gdzie jest ten wasz nieboszczyk, co? Może go kot zjadł? Szosę już widać, a nieboszczyka ani śladu.

Bez słowa wskazał mi skraj przyprószonego śniegiem sosnowego zagajnika. Wytężyłem wzrok i przestałem podrwiwać z Walendziaka. Zacząłem biec. Pocwałował za mną. Zatrzymałem się i kazałem mu zaczekać.

- Zostańcie tutaj. Sam podejść, możecie wszystko zdeptać.

Ostatnie kilkanaście metrów szedłem ostrożnie i powoli. Ale nie było czego zdeptywać. Wszystko już było zasypane śniegiem. Nawet i on, ten Walendziakowy święty Mikołaj w ogromnej, czerwonej, obszytej puszystym futerkiem kapocie i wysokiej krasnej czapce. Jego długa i siwa broda rozrzucona była bezładnie i przyprószona śniegiem. Pochyliłem się nad nim, ściągnąłem rękawice i delikatnie dotknąłem jego czoła. Było lodowate. Nie mogło być wątpliwości. Był nieżywy. A i powodu śmierci łatwo się było domyślić. W czerwonej kapocie, pokrytej nierównomiernie warstewką śniegu, gdzieś na wysokości serca tkwił wbity aż po rękojeść duży wojskowy bagnet.

GODZINA DZIESIĄTA TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

- Tato - powiedziała Halinka. - Mama mówiła, że tato obiecał zabić karpia, ale że tato nie zabił, to ona nie będzie smażyła żywego. I ma już tego zupełnie dosyć.

Popatrzyłem na córkę niezbyt przytomnie. Wpatrywała się we mnie z wyrzutem i nie miała zamiaru dać mi spokoju.

- Co tu, do licha, robisz? - syknąłem na nią, a potem odwróciłem się w kierunku gromadki ludzi stojących na skraju szosy i wrzasnąłem: - Mówiłem, żeby się nie skupiać! Co to znaczy? Teatr przyjechał czy co? Baby, rozejść się! Ciasto piec, Wigilię przygotowywać, a nie gapić się bez potrzeby! Nieboszczyka nie widzieliście czy co?!

Cofnęły się o krok do szosy, ale wcale nie miały zamiaru się rozchodzić.

- Tato - Halinka pociągnęła mnie za rękaw - no to co będzie z tym karpem? Kto ma go zabić?

Popatrzyłem na nią najgroźniej, jak umiałem.

- Jak zaraz stąd nie pójdziesz, to ściągnę pas i tak ci przyrznę, że się nie pozbierasz. Marsz do domu!

- Ja mogę pójść, ale mama nie będzie zadowolona.

Wiedziałem, że mama nie będzie zadowolona, bo rzeczywiście zapomniałem rano zabić tego karpia, ale w tej chwili mnie to zupełnie nie interesowało.

- Uciekaj stąd i już - warknąłem przez zęby. - Jeżeli za sekundę tu jeszcze będziesz, to ci naprawdę przyłożę.

Halinka zawróciła na pięcie i pogalopowała w kierunku domu. Józef Biedronek, najmłodszy milicjant z mojego

posterunku, groźnie podszedł do bab na skraju szosy i pomachał im przed nosami zaciśniętym kułakiem.

- Uciekajta, baby - powiedział - pan komendant mówił, żeby się rozejść. A jak władza mówi, to trzeba się słuchać. Rozumiecie?

- Ależ tyś zważniał, Józus - zaśmiała się któraś z kobiet. - Jeszcze niedawno nosa ci podcierałam, a teraz bez kija do ciebie nie przystap.

- No, no, no - denerwował się Józek - tylko bez takiego gadania, obywatelko Maciaszkowa, bo wam wlepię mandat za opór władzy i utrudnianie!

Maciaszkowa się zaperzyła i już chciała coś chlapanąć jęzorem, ale jak raz wtrąciła się żona Matesaka, sołtysa w Gwiazdowie.

- Józek ma rację, Maciaszkowa. Widzicie, człowiek zabity leży, a wy tu z żartami i przeszkadzacie. Wracajmy, kobity, do domów, do swojej roboty, nic tu nie wypatrzymy!

Maciaszkowa zamilkła. Kobiety cofnęły się jeszcze o krok, ale jakoś nie spieszyły do domów. Maciaszkowa też zresztą nie odchodziła. Śnieg padał coraz gęstszy. Szosa była pusta. Kilka czarnych wron, wcale nie spłoszonych naszą obecnością, przechadzało się po śniegu w odległości kilkunastu metrów od nieboszczyka, którego zresztą mało już nawet było widać, bo z minuty na minutę ginął pod warstwą śniegu.

Przez jakąś chwilę wydawało mi się, że wszystko to jest tylko koszmarnym snem, po którym człowiek budzi się zlany zimnym potem. Ale nieboszczyk w szatach świętego Mikołaja był, niestety, koszmarną rzeczywistością. Pilnowaliśmy go wspólnie z Józkiem Biedronkiem, a mój zastępca, kapral Duda, siedział tymczasem na posterunku przy telefonie.

Przed godziną posłałem po nich Walendziaka. Zameldowali się szybko. Dudę wysłałem na posterunek,

żeby zadzwonił do województwa, a sam z Biedronkiem pozostałem przy zwłokach. A potem, nie wiadomo jak i kiedy, zwiedziały się baby i zaraz ich tu już było pełno, i trzeba się było z nimi użerać, a w końcu pojawiła się Halinka w sprawie tego żywego jeszcze karpia, tak że w głowie powstał mi zupełny mętlik.

- Panie komendancie - powiedział Walendziak, który stał koło nas - to ja już sobie pójdę.

- Co? - zapytałem niezbyt przytomnie, ocierając rękawicą płatki śniegu z brwi.

To może ja już sobie pójdę? - powtórzył niepewnie.

- Ani mi się ważcie. Jesteście ważnym świadkiem.

- A toż mi kobita głowę urwie.

- Wy mi, Walendziak, nawet nie mówcie o odejściu. Z dębu spadliście czy co?

- A długo to jeszcze potrwa?

- Jak będzie trzeba, to postoiście tu nawet i do rana. A w ogóle to nie zawracajcie mi głowy. Widzicie, że jestem zajęty. Baby! Ostatni raz mówię, rozejść się! Żarty się skończyły! No raz, dwa, trzy!

W moim głosie musiało być tyle pasji, że tym razem posłusznie się odwróciły i gorączkowo coś poszeptując oraz stale za siebie się oglądając, podreptały jednak w kierunku zabudowań.

- Ale obywatel komendant to ma posłuch - rzekł Biedronek z przy pochlebczym podziwem w głosie. - Jak powiedział, to się od razu posłuchały.

- Nie pochlebiaj, Józus. Patrz lepiej na szosę, czy jeszcze nie jadą.

- A toż patrzę, panie sierżancie - obruszył się Biedronek. - Nic tylko oczy wypatruję. Pewnie niedługo już będą. - Pogapił się przez chwilę na szosę, na której nic nie było widać, a potem zapytał: - Popalić można?

- Popalcie sobie - zgodziłem się. - Tylko mi niedopałków nie rzucajcie, bo potem ci z wojewódzkiej pomyślą, że to jaki ślad - dodałem bez większego przekonania, bo doskonale zdawałem sobie sprawę, że padający bez przerwy śnieg zniszczył wszelkie ślady, a najrozmaitszych starych niedopałków poniewierało się zawsze koło szosy do licha i trochę.

Zapalił papierosa, zasłaniając dłonią od śniegu i wiatru migotliwy płomynek zapałki. Potem zapałkę zgasił i schował do pudełka. Widać wziął na serio moje gadanie o pozostawieniu fałszywych śladów. Przez chwilę popatrzył na szosę, a potem zagadnął:

- A pan sierżant to myśli, że kto go załatwił? - wskazał rękawicą w kierunku zasypanego śniegiem nieboszczyka.

- A skąd ja, Józus, mogę to wiedzieć? Czy ja jestem Duchem Świętym czy co? - obruszyłem się łagodnie. - Przyjadą specjaliści, poniuchają, poszukają i będzie wiadomo co i jak. To są, chłopie, fachowcy. Nie to co my. Gdybyś mnie zapytał na przykład, kto ukradł prosiaka albo kto komuś przyłożył na drodze koło gospody, to pewno bym ci odpowiedział. Ale to? - wzruszyłem ramionami: - Nie na nasze głowy.

- A mnie się coś widzi - powiedział Józek - że to nasz artysta maczał w tym palce. Dla niego to nie pierwszozna.

Chrząknąłem, wskazując na Walendziaka.

- Nie gadałbyś głupot, Józek. Nikt cię nie pyta, co o tym myślisz. Wypatruj lepiej na szosie.

Józek w lot się zorientował, że nie powinien dzielić się swymi podejrzeniami w obecności Walendziaka, bo burknął pod nosem:

- A wy, Walendziak, uszami nie strzyżcie. Pan komendant kazał wam czekać, więc cierpliwie czekajcie i nic wam do tego, o czym władza rozmawia.

Walendziak przybrał nieszczęśliwą minę i chciał coś odpowiedzieć, ale do tego nie doszło, bo Józek nagle zameldował:

- Jadą już, panie komendancie!

I rzeczywiście. Z głębi szosy, z tumanu śnieżycy błysnęły reflektory, a po chwili na naszej wysokości mimo śniegu z fasonem i ostro zahamowały dwa wozy.

Podbiegłem do szosy i poczekałem, aż przybyli wygramolą się z samochodów. Z willysa wyskoczył najpierw porucznik Fronczak, który często do Gwiazdowa przyjeżdżał, potem wyszedł jakiś nie znany mi cywil, a na końcu oficer w stopniu kapitana. Z czarnego citroena wysiedli lekarz, fotograf i dwóch nie znanych mi funkcjonariuszy.

Podszedłem do kapitana i zameldowałem mu:

- Obywatelu kapitanie, melduje się komendant posterunku w Gwiazdowie Górnym, sierżant Stanisław Komorowski. Miejsce znalezienia zwłok zostało zabezpieczone.

Kapitan przyłożył dwa palce do daszka czapki i przedstawił się:

- Bartczak, z Komendy Wojewódzkiej.

Potem kapitan w towarzystwie cywila podszedł do przysypanych śniegiem zwłok. Niepewnie podążyłem za nimi.

- To chyba będzie on, kapitanie - powiedział cywil, przypatrując się nieboszczykowi i energicznie pociągając nosem.

Zauważyłem, że nos miał zapuchnięty, a oczy czerwone jak u królika. Wyglądał na solidnie zagrypionego. Jego żółte półbuty tonęły w śniegu, a kapelusz z oklapłym rondem robił wrażenie, jakby za chwilę miał ulecieć w powietrze.

- Chyba to będzie on - zgodził się kapitan, a potem zwrócił się do porucznika Fronczaka: - No, zabierajcie się

do roboty.

Fronczak skinął na fotografa i już po chwili biel śniegu poczęła połyskiwać w jaskrawych rozbłyskach flesza.

Spłoszone wrony ciężko poderwały się do lotu. Walendziak rozdziawił gębę i z podziwem patrzył na przybyłych, Józef Biedronek zamarł w pozycji prawie że zasadniczej, zakatarzony cywil w żółtych półbutach pociągał nosem, od strony wsi dobiegało gwałtowne psie naszczekiwanie, a śnieg padał coraz gęstszy i gęstszy.

GODZINA DWUNASTA TRZYDZIEŚCI

- Oczywiście dostaliście telefonogram - powiedział kapitan Bartczak takim tonem, jakby stwierdzał, że słońce wschodzi codziennie, a igła kompasu wskazuje północ.

Chciałem coś odrzec, ale na szczęście nie było potrzeby, bo wsadził nos w stertę papierzyk i widać nie spodziewał się odpowiedzi.

Popatrzyłem na kaprala Dudę, którego uszy przybrały kolor buraka, a oczy uciekły gdzieś w bok. Objąłem służbę po kapralu Dudzie, który jako żywo nie przekazywał mi żadnego telefonogramu. Poczekaj - pomyślałem dam ja ci do wiwatu. Niech no wszystko to się tylko skończy.

Ale nie wyglądało, by koniec tej historii był bliski.

Święty Mikołaj spoczywał na ławie w sionce i oczekiwał na transport. Jego siwa broda leżała teraz na moim stole, obok jakichś papierków, paczki wykruszonych papierosów, pudełka zapalek i kupki drobnych monet. To była zawartość Mikołajowych kieszeni. Święty Mikołaj, pozbawiony brody, nie wyglądał wcale na czcigodnego starca. Jego wykrzywiona bolesnym grymasem twarz była jeszcze młoda. Nie przekroczył chyba trzydziestki.

- W nocy powiadomiliśmy wszystkie posterunki w obrębie naszego województwa - powiedział kapitan do zagrypionego cywila, spoglądając jednocześnie na mnie, jakby oczekiwał potwierdzenia.

Chrząknąłem i pomyślałem, że z Dudy należałoby drzeć żywcem pasy skóry, a odsłonięte mięso posypywać obficie solą.

- W porządku. Wiem o tym - wychrypiał zakatarzony cywil, który wyciągnął z kieszeni ogromny płat ligniny i starannie wysiakał nos. Potem spojrzął na mnie i zapytał: - Nie znalazłoby się tu u was trochę kawy, sierżancie?

Bezradnie rozłożyłem ręce.

- Chyba w gospodzie. Biedronek może skoczyć i przynieść. Choć po prawdzie to nie wiem, czy w gospodzie mają kawę...

- E tam - z rezygnacją machnął ręką - już widzę, jak przynosi. Termos macie?

Musiałem przyznać, że nie rozporządzamy na posterunku termosem.

- Zawsze tak jest - stwierdził ponuro zakatarzony cywil. - Nigdzie teraz nie ma przedmiotów pierwszej potrzeby. Trudno. Przygotujecie mi potem trochę herbaty.

Poderwałem się sprężyście i już chciałem biec do tego pokoju naszego posterunku, gdzie koło barierki stał piecyk z blaszaną rurą, a na nim czajnik, ale cywil usadził mnie energicznie:

- Siadajcie! Herbata potem. Teraz kapitan Bartczak, jako szef grupy operacyjnej, zapozna nas z dotychczasowym stanem śledztwa.

Jeszcze raz sięgnął do kieszeni, wydobyl z niej fiolkę z aspiryną, wysypał na dłoń trzy pastylki i połknął, niczym ich nie popijając.

Kapitan Bartczak podniósł oczy znad rozłożonych przed nim papierów, powiódł wzrokiem po nas wszystkich, siedzących na ławce ustawionej pod ścianą i na kilku biurowych krzeselkach, popatrzył na zawieszone na ścianie godło państwowe, na metalową szafę w kącie obok stojaka na broń, na którym stał jeden mosin wzór 1944, na zakratowane okno, za którym szalała śnieżycą, a potem na cywila, który znowu manipulował kawałkiem ligniny przy zapuchniętym nosie.

- Obywatelu prokuratorze, stan sprawy przedstawia się następująco: wczoraj, dnia dwudziestego trzeciego grudnia, o godzinie dziewiętnastej czterdzieści pięć, dokonano w N. napadu rabunkowego na mieszkanie obywatela Stanisława Żuczka, prywaciarza, właściciela wytwórni grzebieni i puderniczek. Obywatel Stanisław Żuczek i jego żona, Eugenia, byli w tym czasie w domu nieobecni, gdyż przebywali w kinie na filmie „Skarb”, co potwierdził personel rzeczzonego kina. W mieszkaniu znajdowała się wtedy tylko pomoc domowa, obywatelka Genowefa Kowalska, i syn obywatela Żuczka, Żuczek Antoni, lat pięć. O godzinie dziewiętnastej czterdzieści pięć u drzwi willi obywatela Żuczka zadzwonił dzwonek. Obywatelka Kowalska zapytała, kto dzwoni. Otrzymała odpowiedź, że przyszedł święty Mikołaj z miejscowego Domu Towarowego z prezentami zakupionymi w tej placówce handlowej dla syna obywatela Żuczka. Obywatelka Kowalska otworzyła drzwi, mimo że Żuczkowie wielokrotnie przestrzegali ją przed wpuszczaniem osób nieznajomych. Nawiasem mówiąc, drzwi do willi obywatela Żuczka opatrzone są specjalnymi zamkami, zamówionymi w Warszawie. Kiedy otworzyła, do środka wszedł osobnik w przebraniu świętego Mikołaja i z workiem w ręku. Wydobył z kieszeni rewolwer czy też pistolet, z zeznań obywatelki Kowalskiej nie można było dokładnie ustalić, jaka to była broń, i sterroryzował ją. Zmusił ją, aby wraz z dzieckiem weszła do łazienki, gdzie ich zamknął.

O godzinie dwudziestej trzydzieści pięć powrócił do domu obywatel Żuczek z żoną, uwolnił uwięzionych i wszczął alarm. Okazało się, że z mieszkania zrabowano pięćdziesiąt trzy tysiące złotych i biżuterię wartości około stu osiemdziesięciu tysięcy złotych. Pewnie były tam też jakieś „twarde”, „miękkie” i „świnki”, ale o tym Żuczkowie oczywiście nie meldowali. Natychmiast wszczęto czynności

śledcze i pościg. We wstępnym śledztwie, przeprowadzonym jeszcze w godzinach wieczornych, ustalono, że do Domu Towarowego nie powrócił jeden z pięciu pracowników zatrudnionych na etatach świętych Mikołajów. Stwierdzono, że jest to niejaki Antoni Śliwa, lat dwadzieścia osiem, karany już za napad rabunkowy. Właśnie po odbyciu kary za ten czyn opuścił on cztery miesiące temu więzienie we Wronkach. Ustalono, że zaraz po wojnie Śliwa był zatrudniony jako robotnik w wytwórni obywatela Żuczka w N. Za rzezonym wszczęto natychmiast intensywne poszukiwania...

- I w wyniku tych intensywnych poszukiwań - mruknął przez nos prokurator - pewien zalany obywatel odnalazł go dziś rano z bagnetem w sercu w Gwiazdowie Górnym, oddalonym pięćdziesiąt pięć kilometrów od miejsca przestępstwa. Pogratulować sprawności działania - dodał zgryźliwie, a potem kichnął. - Przepraszam - powiedział i wytarł nos ligniną.

Kapitan Bartczak wzruszył ramionami.

- Nie było żadnych danych co do kierunku ucieczki podejrzanego. W miejscu jego zamieszkania stwierdziliśmy, że nie powrócił na noc. Mieszkał kątem u jednej obywatelki na Zalipiu. Obywatelka ta prawdopodobnie trudni się nierządem...

- Byłby idiotą, gdyby tam wracał - mruknął prokurator - musiał się spodziewać, że po paru godzinach będzie miał na głowie całą miejscową milicję. Przygotował sobie na pewno jakąś inną melinę...

- W Gwiazdowie Górnym? - zapytał porucznik Fronczak.

Nikt mu nie odpowiedział, a ja poczułem, że wszystkie spojrzenia skupiły się na mnie. Jak zawsze w chwilach, kiedy jestem porządnie zdenerwowany, odetchnąłem głęboko i powiedziałem:

- Na naszym terenie nigdy nie słyszeliśmy o żadnym Antonim Śliwie. U nas taki nie notowany. Znany był tu wprawdzie Mateusz Śliwa...

- Gdzie on mieszkał? - przerwał porucznik Fronczak. - Może to jakiś krewny?

- Mateusz Śliwa - wyjaśniłem - miał osiemdziesiąt pięć lat, kiedy umarł dwa lata temu. Nie miał żadnych krewnych ani spadkobierców. Całą jego rodzinę wymordowali hitlerowcy w czterdziestym trzecim za pomoc partyzantom. Nikt się nie zgłosił po spadek...

- To nas nie interesuje - przerwał kapitan Bartczak.

Wiedziałem, że ich to nie może obchodzić, ale że zapytali, więc odpowiedziałem najdokładniej, jak potrafiłem. Poczulem, że chce mi się jeść, ale jakoś nie wypadało sięgać do raportówki, w której schowane miałem zawiniątko ze śniadaniem. Najczęściej bywał tam chleb z masłem i kielbasą, ale wtedy, w Wigilię, Marta zapakowała coś postnego, jakieś jajka na twardo albo wędzonego dorsza, którego kupiła dzień wcześniej w spółdzielni. Kupiła wtedy także i tego karpia, którego zapomniałem rano zakatrupić. Przypomniała mi się ta ryba i wyobraziłem sobie, co będę musiał wysłuchać, kiedy wreszcie dotrę do domu. Jedno, co mogło mnie uratować, to to, że zbliżał się ten jedyny w roku wieczór, w który ludzie wybaczą sobie wzajemnie przewinienia, i jakoś nie będzie wypadać kobiecie, obdarzonej choćby i najostrzejszym językiem, besztać ślubnego małżonka, z którym niemało lat przeżyła.

Otworzyły się drzwi od sąsiedniej izby, w której za drewnianą barierką, dzielącą pomieszczenie na połowę, przyjmowało się interesantów. Do pokoju wszedł Józek Biedronek i trochę niepewnie popatrzył na nas.

- Czego chcecie? - zapytał porucznik Fronczak.

- Ja ze sprawą do obywatela sierżanta - wskazał na mnie wzrokiem, nie odrywając dłoni od szwów spodni.

- No to mówcie, co macie do powiedzenia - powiedział porucznik.

- Obywatelu sierżancie - wypalił Józek - przyszła stara Biernacka i nie chce sobie pójść.

Popatrzyłem na Józka wzrokiem, który powinien go uśmiercić.

- Załatwcie sami obywatelkę Biernacką. Widzicie, że jestem zajęty.

- Ale ona chce rozmawiać tylko z obywatelem komendantem.

Chciałem już palnąć, aby odesłał ją do wszystkich diabłów, gdy wtrącił się kapitan Bartczak:

- Nie przeszkadzajcie sobie, sierżancie. Załatwiajcie swoje bieżące sprawy. Jakoś sobie bez was damy radę. - Choć powiedział to poważnym tonem, poczułem się niezmiernie głupio i chyba troszkę poczerwieniałem, bo kapitan dodał szybko: - A jak skończycie, to zaraz wracajcie do nas. Wasza znajomość terenu może być dla nas bardzo cenna.

Poprawiłem pas i wyszedłem do sąsiedniej izby. Koło balustradki, tuż obok żelaznego piecyka z rurą, stała stara Biernacka w kraciastej chuście i świdrowała mnie spojrzeniem swych małych i czarnych jak węgielki oczu. Jej haczykowaty nos poruszał się tak jakoś dziwnie, że zawsze napełniało mnie to niepokojem. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, jak ona to umie robić. Znałem starą Biernacką i jej nos aż za dobrze. Odwiedzała nasz posterunek przynajmniej raz w tygodniu i zanudzała bardzo osobliwymi sprawami. Miała niezwykłą wyobraźnię i bezgraniczne zaufanie do możliwości ludowej milicji. Składała niestrudzenie donosy na sąsiadów, na dzieciaki, które pokazywały jej języki i wołały: „Biernacka, stara jędza, co psy pędza!”, na dziki, które podobno ryły jej ogródek, na nietoperza, który usiłował, za poduszczeniem obywatelki

Maciaszkowej, wkręcić się jej we włosy, oraz na lekarkę z ośrodka zdrowia, która chciała ją otruć, polecając łykanie pigułek o niedobrym kolorze.

- Niech będzie pochwalony - powiedziała Biernacka.

- Dzień dobry, obywatelko - odpowiedziałem sztywno, nie siadając na krzeselku. - A wy do nas w jakiej sprawie?

Jeżeli chodzi o te dzieciaki z drugiej b, co was przezywają, to już zwróciłem uwagę panu kierownikowi szkoły, żeby im uszu natarł. Obiecał, że się tym zajmie osobiście. Tylko widzicie, teraz są ferie, więc trzeba będzie z tym poczekać aż do Trzech Króli.

- Ja z czymś innym, panie komendancie - stwierdziła ponuro. - Ja w sprawie kradzieży. - Jej nos zadrgał nagle gwałtownie, a czarne oczka zmniejszyły się do rozmiarów wąziutkich szpareczek.

Poczułem, że jest całkiem niedobrze. Baba wymyśliła coś zupełnie nowego i nie da się łatwo spławić.

- Kto co komu ukradł, obywatelko? - zapytałem, dalej nie siadając.

Zza uchylonych do sąsiedniej izby drzwi dolatywał gwar wielu głosów, a stojący obok mnie Biedronek uważnie nadstawił uszu.

- Bazylego ukradli, panie komendancie. Myślę, że to na pewno będzie Maciaszkowa. Ona od dawna na niego pomstowała...

Nic nie mogłem zrozumieć. Usiadłem ciężko na krzeselku.

- Powiadajcie po porządku. Kogo ukradli? Co to za Bazyli?

- Kot, panie komendancie. Mój kot. Bardzo łowny. Maciaszkowa go ukradła i pewno utopiła, bo latem pomstowała, że jej kurczaki dusi.

Poczułem, że się pocę ze złości. Miałem ochotę wygonić babsko, ale się powstrzymałem i tylko zapytałem z